

## Kazimierz Kłoś – *W kwaterze dobrotliwego figlarza*

„Słowo Powszechne”

nr 217 z 1959 r.

Pierwsze spotkanie przypadkowe, nieoczekiwane: wrak tramwaju wśród gruzów zwanych z uporem Marszałkowską, zamiast konduktora bukinista. Wokół wraka książki opalone, okaleczone, te które przetrwały powstanie. Wśród nich złowilem przedwojenne wydanie *Naszej Pani Radosnej*. Wszędzie ruiny, nie trzeba było wyobraźni, by współczuć miastu skazanemu na zagładę. Gdy czytałem o ostatnich dniach Pompei, podziwiałem autora i jego wiarę w życie. Taką samą nutą optymizmu dźwięczały zresztą ulice ostukiwane kilofami.

Drugie spotkanie chytrze zorganizowane: papużki w klatce, mikroskopijny stolik (większy by się nie zmieścił w przestrzeni przydzielonej wyrokiem kwaterek), zapach starych foliałów zmieszany z dymem papierosów, gdańskie rzeźbione krzesło. Na nim siwowłosa człowiek o dobrotliwie uśmiechniętych, bielmem nieco przesłoniętych oczach. WŁADYSŁAW ZAMBRZYCKI.

W takt papuziego skweresu popłynęła gawęda... za nią dalsze. Do dziś jeszcze płyną.

– Różne powstają książki – mówi pan Władysław. – *Naszą Panią Radosną* napisałem z przekory. Kiedyś czytałem *Ostatnie dni Pompei*. Gdy byłem we Włoszech, odwiedziłem odkopywane z popiołów miasteczko. Ni śladu wielkości, ni śladu owego patosu, cierpiętnictwa, przeczucia własnej wielkości i bliskiej zagłady. Przewodnik – gaduła skądinąd niemożliwy – był w nie lada kłopotcie, gdym go pytał o wspaniałości wyczarowane piórem Bulver-Lyttona. Zezłościło mnie to. Zakasałem rękawy i napisałem o Pompei, takiej jaką odkryli archeolodzy, czyli o małej, prowincjonalnej, nieco leniwej, zemeryciałej mieścinie. O Pompei na co dzień.

– No, a peyotl, pułkownik Bodineau, Kubuś rozpijający rzymskich urzędników?

– Figle literackie! Zresztą zielarstwo, choć to wiedza starsza od Pompei, w powijakach jeszcze. Bodineau? Znałem malowniczego Belga, łazika niestrudzonego i łgarza nieprawdopodobnego o tym nazwisku. Żyje jeszcze i jak słyszałem, jest inżynierem w jednej z wielkich fabryk zbrojeniowych w Ardenach. Wspominam zresztą o nim w *Kwaterze Bożych Pomyleńców*. A tam wszystko o czym piszę jest jak najbardziej prawdziwe, autentyczne i zgodne z rzeczywistością...

– W *Pamiętniku Filipka* też?

– Ależ tak, oczywiście. Z tym drobnym zastrzeżeniem, że to prawda zabarwiona literaturą. Po co zmyślać, życie jest bardziej dziwne niż fantazja!

Gdy po paru latach odpoczynku w szufladzie *Filipek* wyjrzał z witryn księgarni, otrzymałem szereg listów od czytelników. Jedni wymyślali mi, że bujam, inni gratulowali, że pięknie koloryzuję. A przecież to, o czym napisałem, każdy może znaleźć dziś jeszcze w starych szpargałach. Tylko, że uczeni węższą w nich za wielkimi ludźmi, za historią. Ja wolę historyjki. O tym na przykład, że książę

Józef farbował sobie włosy ormiańskim sposobem i że Coulon manipulował za-  
trutymi marchewkami. Te historyjki są zresztą tak samo autentyczne, jak to, że  
w owych czasach Linde pracował nad swym słownikiem, Hoffman „chrzczył” Ży-  
dów, a Prusacy okupowali Warszawę. Zresztą – tu pan Władysław westchnął –  
byli i tacy czytelnicy, którzy nie wierzyli, że napisałem owe *Pamiętniki*. Dziekno-  
wali mi w listach tylko za to, że wyszperałem i ocaliłem od zapomnienia zapiski  
z „epoki”...

– Wśród pańskich czytelników utarł się pogląd, że na serio zaczął pan pisać  
dopiero po wojnie?

– Nie bardzo to ściśle! Dawniej pisywało się dużo do... gazet. W redakcji  
„Czerwoniaka” powstała też pierwsza moja książka. Było to pod koniec lat dwu-  
dziestych. Pisywało się wtedy za 20 złotych opowiadania do niedzielного  
numeru. Zabarwiało się piórem fabułę różnych zdarzeń opowiadanych przez  
przygodnych ludzi. Kiedyś – a gwar i ścisk był tego dnia w redakcji wyjątkowo  
duży (wie pan, rozmowy, krzyki, stukot maszyn do pisania, zwykły harmider to-  
warzyszający zwykle planowaniu numeru) – zajrzał mi przez ramię wszędobylski  
Melchior Wańkowicz. Musiał być chyba w dobrym humorze, bo spytał czy mam  
nożyczki.

Zdziwiłem się po co mu ten fryzjerski instrument, a on zaproponował, bym  
powycinał z kompletu gazety kilkanaście możliwie napisanych opowiadań. Myś-  
lałem, że żartuje. Dla żartu więc zniszczyłem redakcyjny komplet i po kilku mie-  
siącach miałem już wydaną w „Roju” pierwszą moją książkę pt. *Większa z kro-  
pelkami*. Strasznie jestem wdzięczny panu Melchiorowi, że ośmielił mnie i na-  
kłonił do pisania.

Jednak te książki, które długo pielęgnowałem i z których kształtu się cieszę:  
*Pamiętniki Filipka*, *W oficynie Elerta* (nie wydane), no i teraz *Kwatera Bożych  
Pomyleńców* to wyniki ostatnich lat. Powstały zaś na mikroskopijnym stoliku  
wśród ciasnych ścian. Co sądzi Pan o *Kwaterze*?

Pytanie padło niespodziewanie. Nie wiedziałem, czy o nowym, obszernym  
mieszkanu pisarza mówić, czy o nowej książce. Uchyliłem się od odpowiedzi.  
Niełatwa by zresztą była.

*Kwatera Bożych Pomyleńców* (wyd. „Czytelnik” 1959 r.) wzbudza entu-  
zjizm. Być może zresztą, nie na łamach tygodników, na pewno jednak wśród  
czytelników. Jak każda zresztą książka o Powstaniu Warszawskim. Dzieje się  
bowiem na parterze domu przy Żurawiej w takt huku „krów”, jazgotu „Stu-  
kasów” i w ogniu „Grubej Berty”. Ale powstanie, które toczy się niejako za ścianą  
(stąd brak w *Kwaterze* patosu uzbrojonych w steny żołnierzyków), a którego  
groza narasta z każdą kartką, jest pretekstem do czegoś w rodzaju spowiedzi.  
Autor opowiada o sobie, lecz nie pisze biografii. Sprytnie rozdał role między  
czterech starszych panów, uroczych gawędziarzy, by czytelnik nie zorientował  
się zbyt prędko, gdzie jest wyznanie, gdzie żart, gdzie fakt przeżyty naprawdę  
i gdzie marzenie o takim fakcie, który by autor chciał przeżyć. A że pisarz przeżył  
to i owo, a jeszcze więcej przeczytał lub przemyślał, przeto wspomnienia, przy-  
gody z książką, awantury intelektualne (życiorys Biedermayera), pomysły prze-  
pyszne (figiel z uszlachceniem narodu według zawodów) splótł z zadumą nad  
dziwnościami człowieka i świata w jednolitą całość.

A i tok gawędy dostroił misternie do akcji „dziejącej się za ścianą”. Pierwsze dni powstania, pierwsze dni wolności, „krnąbrnej” Warszawy – są pretekstem do niefrasobliwych opowieści. W miarę jak groza powstania narasta, poważnieje ton gawędy. Coraz częściej temat barwi się refleksją, zamyśleniem, by w chwilach agonii miasta otrzeć się o sprawy wieczyste. O Wieczność. Lecz gdy pisarze o usposobieniu ponurym, o piórze maczanym w smutku i pesymizmie próbowaliby utwór zakończyć rozpaczliwym *Z dymem pożarów...* lub groźnym *Dies Irae*, Zambrzycki, człowiek pogodny, siewca optymizmu, radości i afirmacji życia kończy swe *curriculum vitae* apologią bohaterstwa niepozornego lekarza franciszkanina i litanią do Matki Bożej. Urok końcowych rozdziałów bezwiednie zgina kolana nie tylko jego gawędziarzy: ateusza, kalwina i muzułmanina. Zaraża czytelników spokojem płynącym z wiary.

Dlatego nie żądajcie od przypadkowego krytyka dyletanckiego rozbioru literackich wartości *Kwatery Bożych Pomyleńców*. Sięgnijcie za to sami po książkę dobrotliwego figlarza. Wydana w sierpniu znika z półek szybciej niż topi się lód. A to też swojego rodzaju recenzja. To dowód pisarskiego sukcesu.